

# Podróż w niebo

## Za sześć złotych

Zakopane, w marcu.

Z tem niebem, to prawdę mówiąc, trochę poetyckiej przesady. Bo z Turni Myślenickiej, a nawet z samego czubka Kasprowego Wierchu jeszcze spory kawałek drogi do nieba i, mówiąc po narciarsku, ciężkie podejście. Ale od czegoś to. Zw. „cudza technika”? Przecież, dzięki Bogu, mamy kolejkę powiatową — wystarczy jedno małe, malutkie przelazie liny, i w mgnieniu oka, bez dużych kłopotów i zachodów, w sposób uproszczony, można się znaleźć w niebie (kto na ten górny przysiadł zasłużył). Poprosto — wagonik nadół — fiuut, a duszyczka — fiuut! w górę.

Nie zrażała mnie myśl o możliwości tego błyskawicznego i przymusowego „szuszu” na tamten świat. Pełna nieustraszonego miejsca, postanowiłam zaryzykować życie. Trudno, myślałam, to los wszystkich pionierów, stawiać życie na kartę. Ale potem ta sława! Za sto lat ludzie będą czytać nazwiska tych bohaterów, którzy pierwsi odważyli się jechać nową kolejką powiatową — i moje nazwisko tam się znajdzie. To jedno wystarczyło, abym się zdecydowała.

W pensjonacie żegnano mnie z łzami w oczach. Właścicielka dyskretnie, niby nigdy nie, zapytała, co zrobić z moimi rzeczami na wypadek, gdyby... hmm... Nie patrzyła na mnie. Dzieci, nie znajduję obłudy, niekiedy przedemna prawdy. Mój 10-letni przyjaciel zapytał mnie wprost, tłumiąc łkaniem:

— A czy potem ja będę mógł jeździć na pani nartach?

Gdy znalazłam się w błyszczącym wagoniku kolejki powietrznej, świat zakotłował się pod moimi nogami. Początkowo myślałam, że to z wrażenia, ale zaraz się okazało, że naprawdę się rusza. Tak, jak zabawka, powieszona za nitkę na choince. Konduktorzy pięknie ubrani na biało-granatowo, wyglądają co najmniej jak uczestnicy olimpiady w Gapa. Jeden z takich pięknych panów zagwizdał, liny zaczęły się ruszać.

— Była już taka jedna co trzaśła — pomyślałam, patrząc na nią z niechęcią. Ale na cofnięcie się było już za późno — wagonik powoli, nieznacznie, zaczął sunąć w górę, jak pajak, uwieszony na cienkiej nitce. Od początku jazdy

prześladowało mnie jedno wspomnienie. Zanim kolejka została uruchomiona, asystowałam przy jednej próbie puszczenia jej w ruch. Próbowano hamulców, ale nie chciały działać.

— Mocniej ciągnąć! — wołał inżynier.

A gdy to nie poskutkowało, rozkazał:

— Musi się ktoś powiesić, inaczej nie pójdzie.

Zimno mi się zrobiło na to ludzkie polecenie. — Oto bezimiennego ofiary — myślałam pełną goryczy i współczucia. — Cóż dla takiego człowieka znaczy życie ludzkie wobec maszyny — popatrzyłam wrogo na rozkazującego inżyniera, który tymczasem wołał:

— Niech jeszcze drugi się powiesi!

Nie, tego było mi już za dużo, chciałam się wtrącić, zaprotestować, gdy naraż usłyszałam wesoły głos z głębi wagoniku:

— No, już poszło! — I dwaj „wisielcy”, których cienie widziałam dotychczas na tle szyb kabiny, zeskoczyli na ziemię, puszczając hamulec, którego byli uczepieni. Zaczęły się rozmowy, uwagi: „Dwóch musi ciągnąć”, „ciężko było”, „jeszcze nie w porządku”, „trzeba zmienić”, „a jak nie pójdzie?” itp.

To ostatnie „a jak nie pójdzie?” nie opuszczało mnie podczas mojej pierwszej powietrznej podróży. Co wtedy? Inżyniera niema, a hamulec, bestja uparta, może się znowu zaciąć i nie dać się wciągnąć na siłę. Nie, nie należy o tem myśleć. Lepiej podziwiać widoczki. No cóż, trochę drzew, resztki brudnego śniegu, trochę gór.

— Wyżej będzie lepiej, z Turni piękny widok — pociesza mnie konduktor. Czekamy na Turnie. A tymczasem, co tu ukrywać — lekka nuda. Nic się nie dzieje, żadnych emocji.

— Czy to nie nie-rzuca, nie bąja, nie trzęsie? — pytam, trochę rozczarowana.

— Przekona się pani przy drugim przejeździe — obiecują mi wrażenia bywalcy.

— No cóż, tutaj spaść, to nie strasznego — myślę, przechylając się przez otwarte okno. Ziemia niedaleko, sosny puszyste, śnieg miękki...

Mijamy drugie przejeździe. Nie Nuda. Wagonik idzie równo, jak

po maśle.

— Ale te liny to się naprawdę opuściły — mówi jakiś pan, który jeździ codziennie od dnia otwarcia kolejki. Zdaje się, że mrugnął porozumiewawczo na swego towarzysza, ale nie jestem pewna, bo towarzyszył odpowiedział najpoważniej:

— Zdaje się, że masz rację.

Lekkie zaniepokojenie powiało wśród dwudziestu kilku osób stoczonych w kabinie. Naraz rozkoszna panią, o ustach umalowanych jak wiersz, o krwawych paznokciach, w kolczykach, w narciarskim szafirowym swetrze i szalu w jaskrawą kratę, zachichotała:

— Śmiałybym się, jakby się lina urwała.

Wtedy właśnie wagonik dojeżdżał do Turni i przed wjazdem do stacji zwolnił, zdawało się, jakby się zaważał chwileczkę.

— Cofa się! Ratunku! — wrzasnęła histerycznie pani w kolczykach i swetrze, zapominając o tem, że się miała śmiać. Ale zato cały wagon zgodnie wybuchł śmiechem.

Wysiadali! Uczciwi narciarze wzięli swoje narty z pomostu i ruszyli w górę. Kilka osób rzuciło się na kiosk „Ruchu” i w mgnieniu oka wykupiło kartki do pisania — skrzynka pocztowa jest, będzie stempel „Turnie Myślenickie”. Warto było choćby tylko poto tu przyjechać.

Można tu na górę kupić różne rzeczy. Można się zaopatrzyć w gazety i książki. Już widzę tego amatora, który przyjeżdża na półtora tysiąca metrów wysokości poto, aby kupić sobie Wassermana albo Nalkowską. Dziwię się tylko, że niema tu jeszcze naukowych książek. Jakżeby świetnie było sięgnąć sobie na Turnie, spuścić nogi na Halę Goryczkową i w pełnym słońcu studjować dzieło „Właściwa praca okształtowania jako miara wyłączenia materii” albo „Renesans moonkracji”, albo — itd.

Pomyślano tu nie tylko o intelektualnych rozrywkach, ale i o kulturze ciała. Można dostać różne kremy na opalenie, przeciw opaleniu, płyny, maści. Znajduje się tu również krem-unikat, którego dotychczas nie widziałam nigdzie na nizinach. Nazywa się: „Krem dla narciarek, usuwa uporeczywy brud”. Uporeczywy, zna-

czy — zacięty, niema na niego rady, nie go nie zmoe. Ty na niego mydłem — on nie, ty szczotką — on nie. Dopiero ten cudowny krem. Kto choć raz nocował w jakimś schronisku tatrzańskim, przyzna, że krem ten, jako pomysł, jest cenny i może znaleźć duże zastosowanie. Ale dlaczego dla narciarek?! Dlaczego tylko dla narciarek?!

Wychodzimy przed kamienny budynek. Widok, owszem, byłby niegorszy, tylko góry zasłaniają. Słońce. Kolejka co kwadrans przywozi z Kuźnic nowe partje wycieczkowiczów, żądnych wysokogórskich wrażeń i na Turnie robi się tłoczno. Rozlazi się to czarne morwie naokoło budynku po wszystkich bliskich drózkach i ścieżkach, siada na zwalonych drzewach i wystawia do słońca tłuszcem umazane twarze. Okrzyki, rozmowy, gwar, jak u Trzaski.

Leśną dróżką stromo idzie się na Kasprowy. W lesie co krok znajomi.

— Psiakrew — mruczy głos za mną, — „w sercu Tatr”, czy Krupówki?

— Pan teżby tu nie był, gdyby nie kolejka — staram się go uspokoić. Patrzy na mnie ze wściekłością.

— Wolalibyśmy nie być — mówi i klnie dalej. — Ale jakbym już raz tu wylazł, to byłbym sam — dodaje. Ekwisto! Samotności mu się w Tatrach zachcieja!

Idziemy coraz wyżej. Śnieg tu jest jeszcze biały, suchy, iskrzący, niebo głębokie i niebieskie, słońce oślepiające, upalne. Ludzi trochę mniej. Jest dobrze. Przed nami idzie jakiś młody człowiek. Dziwny. Podejrzan. Razi tutaj jego miejskość — blada, zmięta twarz, jasne naltó, na głowie cyklistowska, lakierki. Czuję się trochę nieswojo, mimowolnie przynajmniej historia z Grenda... Młodzieniec co chwila zatrzymuje się, odwraca i mierzy nas zinnem, nieprzyjemnym spojrzaniem. Br... trochę czuło człowiekowi i jak na złoto nikogo prócz nas niema w pobliżu. Naraz straszne podejrzenie przechodzi mi przez głowę. Błędne, chwytam się za serce i mówię ponuro:

— Jeżeli to jest fotograf, to go zabiję.

Właśnie weszliśmy na śliczną słoneczną polankę.

— Może tu zrobimy zdjęcie —

### Z muzyki

## Festival muzyki francuskiej

Program ubiegłego piątkowego koncertu symfonicznego w Filharmonii składał się całkowicie z dzieł francuskich kompozytorów różnych epok.

Jako pierwszy utwór został wykonany koncert w stylu teatralnym w ośmiu częściach Couperina (mistrza z XVIII wieku) w układzie Alfreda Corlota. Jest to suita w dawnym, dworskim stylu pół-operowym pół-tanecznym, ujęta w ramy koncertu kameralnego.

W drugiej części programu figurowały trzy dzieła symfoniczne współczesnych kompozytorów francuskich: „La Péri” — doskonały, barwny poemat choreograficzny P. Dukasa (bodaj najlepszy utwór tego szlachetnego kompozytora i wielkiego artysty); „Nocturne procesja” „oficjalnego” kompozytora francuskiego H. Rabauda — dzieło starszego stylu, owiane duchem romantycznym i na zakończenie świetne „Alborada del gracioso”, genialny majstersztyk M. Ravela, niezrównane arcydzieło dowcipu muzycznego.

Michał Kondracki.

## REWELACYJNA SPRZEDAŻ KSIĄŻEK

### PO CENACH OBNIŻONYCH

Kilkunastokrotna zniżka cen na niektórych resztkach nakładów „ROJU” i Wielkiej Biblioteki Arcydzieł Literatury”. Książki z różnych dziedzin wiedzy.

Książki do nabycia we wszystkich księgarniach.

Katalogi na żądanie gratis.

rażnie zawołał zgóry młody człowiek.

Długo nacierało mnie śnięciem, bo nie mogłam odzyskać przytomności. Gdy otworzyłam oczy — eleganta z aparatem już nie było. To go ocaliło od śmierci.

Po linie, przeciągniętej z Turni na Kasprowy od czasu do czasu przesuwa się otwarty wagonik z jakimiś beczkami, workami. Kolejka tutaj jeszcze nie kursuje, ale można spodziewać się, że emocyj tu będzie więcej niż na dotychczasowej trasie. Bo to i dalej do ziemi i zamiast przytulnych (na oko) sosenek, skał, ste przepaści. Ale cóż, narazie trzeba poprzestać na tem, co jest.

Droga powrotna nie różniła się nieczem od jazdy na górę. Takie

samo wrażenia można mieć jadąc tramwajem po Marszałkowskiej a dużo większe w windzie u Jabłkowskich, gdy zleźda się na dół. Tylko, że tramwaj kosztuje 20 gr. winda jest zadarmo, a za bilet na Turnie trzeba płacić 6 złotych. Właściwie najsilniejszym wrażeniem w tej powietrznej imprezie był moment kupowania biletu przy kasie.

Stefania Szurlejówna.

\*) W czasie pisania tej korespondencji, drugi odcinek kolejki nie był jeszcze uruchomiony.



Tanie kapelusze włosenne  
**J. MŁODKOWSKI**  
Plac 3 Krzyży 18  
Marszałkowska 92

### Z radia

## Wielka rzecz...

„Radio to jest wielka rzecz” — możnaby powiedzieć, trawestując Wyspiańskiego. Cały szereg refleksyj, do jakich dały asumpt audycje ostatniego tygodnia, nasuwa mi przemożenie, wprost mechaniczne, taką właśnie formułkę.

Równocześnie zaś zdaje sobie sprawę z przeraźliwą jasnością, że ta formułka, to — najordynarniejszy banał. I że również radio samo w sobie, radio „jako takie”, bywa nieraz najprzerazliwszym banałem... Wszystko zależy od kąta patrzenia, a ten kąt znowu od subiektywnego nastawienia, no i od nastroju chwili.

I w tem tkwi wielki, podstawowy relatywizm, „radjowa teoria względności”, z której należy sobie zdawać trzeźwo sprawę, jeśli się pragnie zajmować radjem w sposób poważny, pozytywny i produktywny, a równocześnie uniknąć zejścia na manowce. O tej względności radjowej muszą pamiętać przedewszystkiem ludzie, pracujący dokoła radjofonji i pragnący szczerze jej postępu i rozwoju.

Bo naprzykład obijają się o uszy cyfry i fakty: już blisko 600 tysięcy abonentów, których przyrost w ciągu ostatnich dwu i pół lat wyniósł niemal że rekordowy w Europie odsetek 50 proc., znakomite postępy propagandy na rzecz pozyskiwania nowych radiosłuchaczy, zacieśniający się kontakt między wielką rodziną radjową a równocześnie tyle krytyk (i to słusznych) na rozmaite, nieczyste, niedociąg-

nięcia programowe, tyle alarmów spowodu grożącego właśnie skutkiem radja „zgleichszaltowania” naszej kultury, jej standaryzacji i banalizacji. Z jednej strony wielkie (czy nie zanauto wielkie?) nadzieje, jakie się łączy z rolą radja jako instrumentu propagandy państwowej, a z drugiej stwierdzany na każdym kroku fakt, że „szaremu człowiekowi radjowemu” najwięcej jednak chodzi o... muzyczne.

W kilku konkursach radjowych jakie ostatnio urządzono (konkurs na odgadnięcie daty zarejestrowania 500.000-nego abonenta, szarada muzyczna Komitetu Olimpijskiego, szarada stacji krakowskiej) obserwowaliśmy stale po 8 do 9 tysięcy uczestników. Cyfry to imponujące (do czego nie miało i to się przyczyniło, że konkursy te były celowo pomyślane, nie stawiając uczestników przed nadmiernymi trudnościami), ale fakt że się niemal dokładnie trzy razy pod rząd powtórzyły, daje trochę do myślenia.

Niewiele bowiem od nich odbiega ilość wypełnionych kwestionariuszy ankiety programowej, jakie dotąd Polskiemu Radju nadano (12 tysięcy). A przecież abonentów, którzy kwestionariusze te otrzymywali było dziesięć razy więcej.

Możemy tedy ułożyć następujący szereg zjawisk:

Największe zainteresowanie wywołało album pamiątkowe, z okazji którego pokazało się, że informacje o naszym radju, jakie

związek namacalny z jego wykonawcami i t. p. pragnie mieć co czwarty — piąty słuchacz.

O wiele mniej jest już takich, którzy czują także potrzebę utrzymywania z radjem kontaktu piśmennego, jakiegoś wymiany zdań i t. p. Jeśliby zliczyć klientów wszystkich „skrzyniek” radjowych ich cyfra ogólna zapewne niewieleby odbiegała od tej, jaką przypuszczalnie zamknęła się ankieta programowa: 12—15 tysięcy. — Czyli, że stosunek słuchaczy „aktywnych” do ogółu wynosi mniej więcej 1:40.

A wreszcie, 745 słuchaczy, którzy zgłosili ochotę przystąpienia do „Klubu Optymistów” — czyli że do mobilizacji, mającej na celu użycie radja jako środka organizacyjnego, jako punktu wyjścia pewnej akcji, stanął spośród słuchaczy aktywnych co dwudziesty. Prawdopodobnie przy podobnych inicjatywach z innych okazji cyfry są zbliżone.

\*\*\*

Czy to „wielka rzecz”, czy też „mala”? W naszych warunkach niewątpliwie — wielka, zwłaszcza „jak na początek”. Ale błędne byłoby liczenie, że cyfry te bardzo silnie wzrosną „jak na koniec”. Istnieją bowiem pewne granice pojemności. Pod względem ilości abonentów, już podchodzić pod ten pułap w miastach, jeszcześmy od niego bardzo dalecy na wsi, ale ogólnie można powiedzieć, że istnieje tu dostosowanie do naszych warunków kulturalnych i materialnych pewne „optimum”, poza które wyjść będzie trudno. Takiesamo „optimum” istnieje także co do kontaktu ze słuchaczami.

Bardzo instruktywna była pod tym względem ostatnia audycja „Mówmy o prowincji”, poświęcona na replikę dotychczasowych

prolegentów tego cyklu na listy, artykuły w prasie itp. Pokazało się, że radio może rzeczywiście „robić ruch”, wypłacać pewną ilość energii zbiorowej, marniej, jęcej w rozproszeniu (zwłaszcza na prowincji). To są możliwości pozytywne, bardzo cenne. Ale czy może radio być środkiem organizującym całe społeczeństwo, inspirowanym opinię itp.? Czy jest tem wszechmocnym i niezmiennie dalekosiężnym narzędziem państwa, które daje mu nieoczekiwane dawniej, możliwości?

Podobno tak jest w Sowietach, Niemczech, Włoszech. „Podobno” — podkreślam dlatego, że w każdym z tych krajów istnieje jeden tylko dopuszczalny kierunek publicznego przejawiania się opinii. Istnieje jednak także opinia prywatna, znacznie odmienna — zająrzyjmy choćby tylko do literatury sowieckiej. Opinia, to pewne indywidualności, promieniujące swoje myśli na otoczenie — reszta ludzi stanowi płynną masę, która idzie raz tędy, raz owdy, ale której, w gruncie rzeczy, wszystko jedno. Będą krzyczeli „Niech żyje”, albo „Hańba”, a zrobią swoje, albo też po swojemu nie zrobią nic, pozostaną bierni.

Otóż radio, jako środek kontaktu, przemawia tylko do pewnej części indywidualności — tych przedewszystkiem, które oderwane są od strumienia życia ogólnego, bo żyją gdzieś na uboczu. Przeważa jednak ilość znajdujących się w społeczeństwie indywidualności, nie będzie szukała swych inspiracji, albo też pozostanie na nie odporna, choćby wskutek tego automatycznego odporu, jaki wszelka myśl niezależna musi stawiać wszystkiemu, co się jej narzuca.

Ogółowi zaś radio pozwala asystować przy wielkiej mowie Mussoliniego czy Hitlera, choćby z drugiego krańca państwa, tak samo, jak i przy emocjonującym meczu sportowym, pozwala dowiedzieć się już w parę minut po jego wydarzeniu się o sensacyjnej katastrofie i o numerze głównej wygranej, pozwala posłuchać czasem czegoś przyjemnego lub pożytecznego. Ale nie będzie radio „urabiało” ogółu — choćby z tej prostej przyczyny, że nie prostszego, jak zamknąć głośnik, gdy zaczyna nudzić. Dlatego też bardzo celowe są wszelkie pogadanki informacyjne, rzeczowo wyjaśniające daną sprawę i rozpraszające różne błędne o niej pojęcia, ale czasem zmarnowana bywa niejednen raportaż czy transmisja. I tak samo wątpliwą wartość posiadają pogadanki tego rodzaju, jak n. p. onegdaj wieczorem, kiedy nam pewien inżynier tłumaczył, że w Ameryce na przejazdach kolejowych niema żadnych barier ostrzegawczych, więc i u nas są niepotrzebne. Czy miała ona na celu „nakreślić” przekonanie słuchacza w tym kierunku, że kolei nie należy winić za żadne przejechania? Daremny trud: tego rodzaju „propaganda” do nikogo nie przemówi.

\*\*\*

Całkiem zaś inna rzecz, jeśli radio idzie w parze z życiem i chwytą je na gorąco. Oto n. p. znowu jeden plus w cyklu „Dyskutujmy”: dialog między młodym a starszym na temat „Miejsce dla młodych”, który poruszył sprawę niesłuchanej wagi i aktualności, dał każdemu wiele do myślenia, a chociaż w rezultacie zakończył się tylko stwierdzeniem, że problem ten stanowi prawdziwe błędne koło, to już i

samo otwarcie dyskusji wiele jest warte.

Niedawno odbył się w Warszawie zjazd dyrektorów rozgłośni prowincjonalnych, na którym omawiano w szczególności kwestję poziomu sportów, jakie do programu ogólnopolskiego wnoszą stacje lokalne. Ze często brak tutaj koordynacji oraz jakiejś centralnej koordynacji, zwracano nieraz na tem miejscu uwagę. Ze zaś taki brak koordynacji zdarza się nawet i w obrębie jednej i to samej stacji i to w jednym i tym samym dziale, mamy przykład ostatnio na Warszawie, która w ciągu tygodnia dała cztery słuchowiska, ale z wyjątkiem niedzielnego kwadransa teatralnego („Wilki w nocy” Rittnera) same wznowienia. Wznosiła więc Wesoła Syrena w sobotę „Uprzejmego człowieka” w niedzielę wznowiono „Piotra Plak-sina”, w czwartek wznowiono „Historię o żołnierzu”. Zbieg okoliczności? Może. Ale, czy nie słusznie mogą słuchacze sarkać?

Ze dziwiemieniem także wysłuchatem historii o wójcie Pyrzy i kopcu na cześć tego chłopar-rycerza sprzed 300 lat, piotra Tadeusza Opieli, którą nadano o godzinie 11 w nocy, gdy żaden z chłopów (a dla nich byłaby właśnie ta audycja specjalnie ciekawa) radja nie słucha — przyczem zamiast, by zareprodukować tę historię w gwarze ludowej, to ją odczytał ktoś, wymawiający literę „r” z francuska, a z autora zrobiono „Opiałę”. Czy to nie jest marnowanie tematów? O Pyrzy trzeba było opowiedzieć przedewszystkiem chłopom, a więc w niedzielę popołudniu.

Marian Grzegorzczak